

Alfred Munnings. Portret księżnej Westminster na polowaniu.

Podatek gminny od polowania.

(Skarga myśliwska).

Łowiectwo nasze drogie wezmą wkrótce djabli,
a my będziemy chodzić — bez inekspryniabli!

Że na barki nieszczęsnych myśliwców niewinne
oprócz podatków innych spadły także gminne
proszę, ażeby nikt się na mnie nie obraził,
gdybym o owych „gminnych" — gminnie się wyraził.

Wszelkie tu osobiste pominę aluzje.
Za prawo polowania płacimy, za fuzje...
Za psa, za to poczciwe i szlachetne zwierzę
nasz Magistrat (będący pod psem) haracz bierze.
Rzecz to jest naturalna. Lecz gminny podatek
nieszczęśliwego łowca pozbawiłby szatek
i Rząd srogie by z tego potem miał mozoły
ścigając policyjne każdego, kto goły.

Ministerstwo wewnętrznych spraw! władzo „odnośna“!
czemuż nas dziś dobija ustawa nieznośna?
Dla jakiej niezbadanej i dziwnej przyczyny
niema dotąd podatków jeszcze — dla zwierzyny?
Odyniec, który w kniei swą lubą pokocha
niech Wam płaci podatek za to, że się locha.
Kozioł czas drogi w borze na beczeniu traci:
sprawia mu to przyjemność — niech więc za to płaci.
Opodatkować trzeba zajęcze parkoty.
Grający głuszec za pieśń niech płaci choć złoty.
Zaś na cietrzewim toku gotowe są budki:
w nich będzie podatkowy aparat malutki.
Jeleń w górach swą lubą dopędzić się stara;
Dobrze! — ale niech władzom płaci od hektara.
W ten sposób Państwo wszelkich swych starań dołoży,
ażeby się przyczynić do zwierząt rozmnoży...

JULJAN EJSMOND.

W SPRAWIE PODATKU OD POLOWANIA.

W Dzienniku Ustaw Nr. 31 z dn. 10 kwietnia r.b. (poz. 317, par. 13), pojawiło się rozporządzenie wykonawcze Ministrów Spraw Wewnętrznych i Skarbu do ustawy o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych (Dz. Ust. Nr. 94 z 23 r., poz. 747 art. 19). Rozporządzenie to ma być, między innemi, punktem wyjścia do uchwalenia przez gminy wiejskie i miejskie podatku od wykonywania prawa polowania i dzieli państwo na cztery strefy, ustanawiając maksymalną normę podatku dla I-ej strefy—50 gr., dla II-ej—30 gr., dla III-ej — 10 gr. i dla IV-ej — 5 groszy, od 1-go hektara.

Ponieważ podatek ten niepomierną swoją wysokością godzi wprost w byt łowiectwa, Centr. Zw. Polsk. St. Łow. zwołał na dzień 5-ty czerwca r. b. zebranie Zarządu, składającego się z przedstawicieli towarzystw łowieckich całego państwa z udziałem osób zaproszonych z prasy i Departamentu Leśnictwa—w celu omówienia grożącej łowiectwu katastrofy i znalezienia środków zaradczych.

Po wyczerpujących debatach, zebranie doszło do wniosku, że władze miarodajne, ustanawiając najwyższe normy tego podatku, nie miały na względzie wartości zwierzyny, ani też tenuty za dzierżawę polowania, od wysokości której *procentowo* powinien być ustanowiony podatek.

Centralny Związek P. St. Ł., mając dane statystyczne co do poszczególnych zwierzostanów i wysokości tenuty dzierżawnej we wszystkich czterech strefach, stwierdza, że *podatek ten nietylko nie stanowi procentowej wartości tenuty dzierżawnej, lecz wielokrotnie samą tenutę przewyższa*, ponieważ jest ustanowiony nie od wartości polowania, lecz od powierzchni. *System taki jest zły* zasadniczo, *gdyż uniemożliwia wydzierżawianie wielkich obszarów bezwartościowych, na których właśnie pożądanem jest zaprowadzenie hodowli zwierzyny.*

Jak w praktyce przedstawia się zastosowanie takiego podatku, stwierdza następujący przykład: Kółko Myśl. na kresach (Strefa IV), płacąc od terenu 100·000 h. maksymalną tenutę, osiąganą na publicznej licytacji, wynoszącą pół grosza za 1 hektar, opłaca rządowi 500 zł. dzierżawy, podatek zaś, przy zastosowaniu oznaczonej normy—5 gr., wynosi zł. 5·000!!

Gdyby rząd zastosował 5-cio procent. normę od dzierżawy, jak to uczynił w tem samem rozporządzeniu przy podatku od wiejskich lokali, w wyżej przytoczonym przykładzie podatek ten wynosiłby 25 zł., co byłoby usprawiedliwionem. Ale 5·000 zł. podatku na rzecz gminy, tam, gdzie tenuta wynosi zł. 500 — jest absurdem.

Następstwem takiego opodatkowania musi być zaniechanie racjonalnego myśliwstwa. W skutkach zaś, z powodu nieuniknionego zaniku zwierzyny przez brak opieki, państwo straci jedną z poważnych gałęzi swego bogactwa przyrodzonego; zamiast eksportu, nastąpi import zwierzyny i rząd będzie pozbawiony całkowitego dochodu z dzierżaw państwowych terenów myśliwskich, oraz opłat za bilety na prawo polowania. Gminy nietylko, że nic nie dostaną z nowego podatku, ale stracą dotychczasowy dochód z wydzierżawianych gruntów jako terenów łowieckich, przyczem ludność wiejska pozbawioną będzie zarobków, związanych z wykonywaniem polowania. Nakoniec—upadną składy broni i amunicji, jako też inne gałęzie przemysłu, związanego z myśliwstwem.

Obecni na zebraniu, uważając, że tej miary podatek od polowania spowoduje kompletny upadek łowiectwa, oraz zamiast korzyści przyniesie państwu i ludności nieobliczalne straty — uchwalili wystąpić z wyczerpującym memorjałem do Ministrów: Spraw Wewnętrznych, Skarbu i Rolnictwa z prośbą o odpowiednią zmianę wydanego rozporządzenia.

Na liczne zapytania interesowanych sfer jak trzeba postępować w wypadkach uchwalenia i żądania przez gminy płacenia tego podatku, Zarząd Centr. Z. P. S. Ł. wyjaśnił, że narazie należy się wstrzymać od polowania i odmówić zapłacenia podatku na zasadzie ustępu paragrafu 13-go, Rozporządzenia Wykonawczego do Art. 19 go Ustawy, a mianowicie, że:

„Od podatku wolni są posiadacze prawa polowania zupełnie nie wykonywujący tego prawa".

Centr. Związek Pol. Stow. Łowieckich.

Jednolity front myśliwych polskich.

Podatki gminne od polowania godzą w najżywotniejsze interesy naszego łowiectwa. Gdyby ich nie zdołano zmniejszyć — polowanie w Polsce stałoby się dostępne tylko dla multimiljarderów no i, oczywiście, dla kłusowników. Rozporządzenie podatkowe jest więc w wysokim stopniu antydemokratyczne.

Jak słusznie stwierdza komunikat C. Z. P. S. Ł. godzi ono nietylko w łowiectwo, ale i w dobrobyt państwa. Zagrożone społeczeństwo myśliwskie jedną korzyść z tego odnieść może: poczucie konieczności zrzeszenia się w jednolitą całość.

Czas, ażeby o sprawach łowieckich decydowali myśliwi. W przeciwnym razie szkodę poniesie nietylko łowiectwo—ale i Państwo. *J. E.*



Z teki myśliwskiej J. Fałata.

Myśliwi Polscy!

Komitet Redakcyjny„ Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ postanowił przejąć wydawnictwo naszego pisma od T. Wyd. „Prasa“ i założyć Myśliwską Spółkę Wydawniczą dla stworzenia ideowej placówki myśliwskiej mającej na celu doskonalenie niezawisłego naszego organu—będącego organem szerokiej opinji myśliwskiej kraju—oraz wydawanie „Bibljoteki Myśliwskiej“, której brak tak dotkliwie daje się odczuwać.

Udało nam się zgrupować dokoła pisma najznakomitszych pisarzy myśliwskich. Doskonalenie „Przeglądu“ zamierzamy prowadzić tak pod względem treści jak i formy zewnętrznej. Chodzi nam o stworzenie ilustrowanego tygodnika. Olbrzymia poczytność naszego pisma daje gwarancję, iż trud nasz płonnym nie będzie.

Pragnąc aby udziały Myśl. Sp. Wydawniczej były w rękach ideowych szermierzy o lepsze jutro naszego łowiectwa WZYWAMY SPOŁECZEŃSTWO MYŚLIWSKIE DO DEKLAROWANIA W MIARĘ MOŻNOŚCI SWYCH UDZIAŁÓW.

Dzieło do spełnienia jest wielkie. Nietylko nowe dzieła literatury naszej dawać pragniemy, lecz jednocześnie przypominać polskie dzieła dawne, wyczerpane lub nieznane

Zainteresowanie wśród myśliwych literaturą łowiecką rośnie. Prócz polskich dzieł dawać zamierzamy przekłady z najcelniejszych dzieł cudzoziemskich.

Wzywamy myśliwych by stwierdzili poparciem swem, iż stać Polskę na łowiecką placówkę mającą szczytny cel podniesienia poziomu rodzimego myśliwstwa i szerzenia łowieckiej kultury przez pismo niezależnej opinji myśliwskiej oraz przez bibljotekę łowiecką.

REDAKCJA
„PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO I ŁOWIECTWA POLSKIEGO“.

MYŚLIWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA.

W celu prowadzenia akcji wydawniczej w zakresie spraw związanych z łowiectwem zawiązuje się Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością pod nazwą:

MYŚLIWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

SP. Z OGR. ODP.

WARSZAWA, CHMIELNA 32.

Głównym i pierwszym celem Myśliwskiej Spółki Wydawniczej jest przejęcie, rozszerzenie i prowadzenie samodzielnie czasopisma „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie“.

Ponadto Myśliwska Sp. Wydawnicza będzie kontynuowała wydawnictwa z serji Bibljoteczki Myśliwskiej, której tom I „Venator“ zyskał w świecie myśliwskim tak wielkie powodzenie.

Kapitał zakładowy Myśliwskiej Spółki Wydawniczej został ustalony na

Zł. 20.000.

podzielonych na 200 udziałów po 100 zł. + 20 zł. na przejęcie wydawnictwa od „Prasy“.

Zapisy na udziały uskuteczniać należy na deklaracji pod adresem Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Myśliwskiej Spółki Wydawniczej, p. Józefa Błeszyńskiego. Chmielna 32, m. 22, w Warszawie. Wpłaty przez P. K. O. na konto „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ № 7595 w ratach: $^1/_4$ do dnia 1/VII, $^1/_4$ do 1/VIII, $^1/_4$ do 1/IX, $^1/_4$ do 1/X. 24 r.

Komitet Organizacyjny Myśl. Sp. Wyd.

Józef Błeszyński, Mieczysław Czerwiński, Juljan Ejsmond, gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Gieysztor, Włodzimierz Korsak i Wł. Janta Połczyński.

Pies - włóczęga.

W Lubelskiem, a szczególnie w południowo-wschodnich jego powiatach, spotykamy specjalny typ psa, którego lud prosty nazywa: *„skowyrkiem“*. Jestto najzwyczajniejszy: *„pies - włóczęga“*, o pewnych cechach zdziczenia.

Ordynarny, chudy, pokraczny, bojaźliwy, a równocześnie zaczepny, zwykle głodny, a przeważnie bezdomny kundys, włóczy się wciąż od podwórka do podwórka, od chałupy do chałupy, od wsi do wsi, lub wałęsa się całymi dniami po polach i lasach za zwierzyną, wiecznie szukając żeru. Nieraz gdy bardzo głodny, potrafi upolować kurę, kaczkę lub gęś z podwórka, a nawet porwie i drobne prosiątko ze stada i urządza sobie z tych zdobyczy sute libacje w wysokim zbożu, lub przydrożnych krzakach. Mało tego, owe „skowyrki“ podczas lata roznoszą przeważnie zarazki wścieklizny i są zawsze postrachem ludności, to też nic dziwnego, że nie są one przez mieszkańców wsi chętnie witane, jako chwilowi przybysze, tembardziej, że bywają często powodem kłótni i wojny z miejscowemi, zasiedziałemi psami podwórzowemi bądź o strawę, bądź o kość na podwórzu, bądź nawet o zalecanki, do bardziej lekkomyślnych przedstawicielek płci żeńskiej. Jednem słowem, „skowyrek“ jest przez wszystkich nielubiany, niecierpiany, znienawidzony nawet, to też, gdy się tylko gdzie pojawi, zaraz występują przeciwko niemu czynnie, i ludność miejscowa, nie wyłączając dzieci, i pobratymcy psiego rodu, dostaje się zatem biednemu psinie moc razów, to kijem, to nogą, a często i zębem ustosunkowknego Cerbera, to też nieproszony gość uchodzi z pola czemprędzej *„skowycząc“* w niebogłosy, a *„skowyt“* ten długo jeszcze rozlega się za uciekającym, to milknąc to wybuchając gwałtownie, zależnie od tego, czy delikwent spotkał kogo na swej odwrotnej drodze.

Może być, że z powodu tego specjalnego ujadania, tego ciągłego zawodzenia, skowytu nieszczęśliwego stworzenia, nazwano go *„skowyrkiem“*.

W każdym razie, tego rodzaju bezdomny pies-włóczęga jest bardzo szkodliwym typem dla rozwoju zwierzyny i zdrowotności gospodarskich psów wiejskich i winien być bezwzględnie tępiony i niszczony—a tymczasem w praktyce jest inaczej. „Skowyrków“ takich setkami notować możemy po powiatach, na dowód czego przytoczę fakt, którego byłem świadkiem i uczestnikiem, w pierwszej połowie kwietnia bieżącego roku.

W środę po Przewodniej niedzieli, wracałem do siebie z miejscowości, położonej o 26 kilometrów odległości, gościńcem II rzędu t. zw. „polską drogą“.

Czas był fatalny, pochmurno, zimno przejmujące, pola pokryte cienkim, przezroczystym całunem śniegu spadłego w nocy i choć zwięzły hrubieszowski czarnoziem do tyla stężał i podsechł już, że można było śmiało wyjść w pole z pługiem i broną, to jednak droga na trakcie była obślizgła, a w dołkach mocno błotnista i bardzo ciężka, to też wlokłem się prawie noga za nogą i siłą rzeczy musiałem oddać się cały obserwacji wszelkich zjawisk i obrazów spotykanych po drodze.

Jechałem okolicą powstałą z samych kolonij, które rozrzucone są gęsto po obu stronach gościńca. Mijając sadyby i podwórza gospodarcze, prawie przy każdych zauważyłem psa trzymanego bądź na łańcuchu przy budzie, bądź na długim drucie, ślizgającym się wzdłuż okapu budynku. Te psy podwórzowe, to zwykłe, ordynarne kundysy, trochę roślejsze, dobrze odżywione i nieraz różnorodne: „podrasowane“, czy też: „podłożone“, lub „skrzyżowane“ z innymi gatunkami, bo przebija w nich nieraz to wyżeł, to gończarz, wilczarz, owczarek, chart, buldog i inne, słowem, konglomerat ras łączonych bez myśli i planu, ot, widocznie zależnych od indywidualnych cech starających się... oblubieńców, lub łaski przychylnych... oblubienic.

Typowych psów podwórzowych t. zw. „brytanów“, nie spotyka się u nas dzisiaj, a to dzięki zawierusze wojennej, podczas której, śmiało rzec można, że zginęło 99% psów podwórzowych i innych ras tam, kędy ta zawierucha dłużej grasowała. Należałoby, doprawdy i na ten dział hodowli zwrócić baczną uwagę, tembardziej, że posiadamy w kraju tak wyraźne i silne typy psów specjalnych ras, z których drogą doboru możnaby w krótkim czasie wyprodukować owego tradycyjnego, srogiego „brytana“.

Prócz psów podwórzowych, zauważyłem prawie przed każdą chatą jednego lub dwa pieski, widocznie „pokojowe“. Małe to, wykarmione w chałupie, pod tapczanem chowane, sądząc z czystego, o jednakowym połysku jego uwłosienia, ale przedstawiające sobą dziwolągi mięszaniny wyżłów, szpiców, foksterjerów, nawet jamników, mopsów i t. p. różnych różności. Zadaniem tych piesków jest odprowadzać z ogromnym hałasem przechodzącego, lub przejeżdżającego traktem, w granice sąsiedniej sadyby, gdzie gotowi towarzysze, w unisonowym ujadaniu przejmują podróżnego i podają go znów następnym, dość, że taki koncert ciągłego szczekania ujadania i odprowadzanie wehikułu, przeciąga się nieraz całymi kilometrami ciągnących się wzdłuż gościńca kolonji.

Ale mało tego.

Mimo zimna i śniegu, spotykałem licznych kolonistów w polu, zajętych siewem, orką, lub włóczką. Niecierpliwy rolnik korzysta na wiosnę z każdej możliwej chwili, by rzucić ziarno w ziemię, bodaj jeszcze zimną i wilgotną, gdyż rozumie on, że wczesny siew, tylko plon powiększyć może, o czem głosi przecież staropolskie przysłowie: „siej owies w błoto,—a zbierać będziesz złoto“.

Prawie za każdym z siewców, lub oraczy, idzie piesek rolą lub bruzdą, aż naraz znudzony tą monotonnością asysty, zwąchuje się z sąsiednim towa-

rzyszem, lub ...szką i po krótkiej chwilce rozmowy i namowy, ruszają razem na przełaj przez pola w poszukiwaniu zajączka, kuropatwy, lub innego stworzenia, zdatnego do uduszenia. Ot, słychać już nawet jak pieski naszczekują nerwowo, widocznie gonią zwierzynę. Widać hen, zdala, jak spiesznie okładają dolinkę i wzgórkiem dążą wprost do lasu, pod którym nagle stop, — stają ogłupiałe, kręcą się w miejscu, lub w przybrzeżnych zaroślach, naszczekują smutnie i węszą wciąż po ziemi, aż po chwili, skonfundowane, powiedziałby kto „z nosami na kwintę“, wracają do swych chlebodawców i dalej włoczą się za nimi, poki nie znajdzie się nowy towarzysz-namawiacz na wspólną wyprawę.

A tymczasem, tam na polach odległych, bezludnych, samopas uganiają „skowyrki“, których ściana lasu nie powstrzyma, a kilkokilometrowa nawet pogoń nie odstraszy.

Tego rodzaju samorzutne „psie polowania“, wystraszają zwierzynę, tępią ją ogromnie i pozbawiają całych okolic sarn, zajęcy i kuropatw, chociaż miejscowe warunki terenu, byłyby dla ich rozmnażania się najidealniejsze.

Rezultatem mych obserwacji i obliczeń było to, — że w ciągu trzygodzinnej jazdy na przestrzeni 26 kilometrów drogi, narachowałem 36, *wyraźnie trzydzieści sześć* sztuk psów, różnego gatunku, wieku, płci i maści, — a w tej liczbie 12 „skowyrków“, myszkujących i polujących po polach, na których, gdzie niegdzie, w jesiennych podorywach, lub pod krzakami łozy na łąkach, albo pod granicznymi głogami, lub pod wysoką, południową miedzą wśród polnych dolinek, kryją się zwykle „marcaki“, lub późno-kotne samice.

Do jakiego stopnia te „skowyrki“ mają czelność i odwagę polować wspólnie na zające, objaśnia wyraźnie fakt, opisany przezemnie w czerwcowym „Przeglądzie Myśliwskim“, że kiedy w lasach dóbr Podhorcz, położynych o 6 kilom. od miasta Hrubieszowa, urządzono w marcu b. r. specjalne polowanie na lisy, — to poza ubitymi trzema lisami, z których nb. *każdy miał na sobie urwane druciane „oko“* (wnyk, pętla), zabito 3 „skowyrki“, a czwartego, zestrzelano.

Podczas owych parogodzinnych obserwacji i po głębszem zastanowieniu się co do całokształtu istoty rzeczy, doszedłem do przekonania, że prawa ochrony zwierzyny łownej, oraz polowania, są w prawodawstwie polskiem zupełnie zaniedbane i nie tylko zostawione: „własnemu przemysłowi“, ale jakgdyby, w dzisiejszem swojem stadjum, rozmyślnie tolerowane na rzecz: „małorolnych i bezrolnych“.

Przecież obecnie, przynajmniej w naszem starostwie, gminy wypuszczają swe grunta w dzierżawę na polowania drogą przetargów publicznych, a zatem mało albo bezrolny kmiotek: „własnym przemysłem“ stara się zaopatrzeć w zwierzynę, „przynagla“ sobie zatem sposobność niszczenia jej na polach i lasach: „większej własności“, różnemi „pętlami“, „wnykami“, „okami“ i t. p. sidłami pomagając sobie w jasne, księżycowe noce strzelać do niej: „na wychodnego“ z broni, na którą w wielu wypadkach posiada urzędowe pozwolenie, gdyż starostwa polskie, szeroką ręką szafują owemi pozwoleniami tak na trzymanie broni myśliwskiej, jak i na prawo polowania.

(D. n.). *Jan Stefan Wydżga.*

Jeszcze w sprawie wyprawy afrykańskiej hr. Potockiego.

Komitet Redakcyjny naszego pisma postanowi stosując się do życzenia p. hr. Potockiego, list jego skierować wprost do p. Wł. Janty Połczyńskiego i wbrew zapowiedzi nie ogłaszać go drukiem, a to z tego względu, iż list Jerzego hr. Potockiego nosi charakter nawskroś polityczny, skierowany przeciw stronnictwu Nar. Demokracji, a pismo nasze jako ściśle fachowe zdaleka od polityki trzymać się musi i terenem dyskusji politycznej być nie może.

Jednocześnie zawiadamiamy p. Prez. Juljusza Bielskiego stającego w obronie hr. Potockiego, iż partyjne spory i rozognienie stosunków myśliwskich spowodować mogłoby ogłoszenie listu hr. Potockiego piętnującego całą prawicę narodowo-demokratyczną, nie zaś artykuł p. Wł. Janty Połczyńskiego pomieszczony w naszem piśmie.

Gotowi jesteśmy zawsze ogłaszać wszelkie dyskusyjne artykuły myśliwskie w rubryce „Wolna Trybuna“ dostępnej dla wszystkich pod warunkiem jednak nieporuszania w nich polityki.

Ochrona Przyrody.

I.

Idea ochrony przyrody jest nawskroś nowoczesna; znajdujemy ją coprawda u starożytnych i ludów pierwotnych, ale tam oparta jest na kulcie religijnym. Ażeby więc dokładnie uprzytomnić sobie na czem polega współczesna idea ochrony przyrody — proszę rozwiązać następujące zagadnienie: przejrzeć jakąś najlepiej znaną okolicę Polski i odpowiedzieć na pytanie: co na tej przestrzeni jest krajobrazem naturalnym, pierwotnym, a co zostało stworzone przez kulturę ludzką? Zobaczymy, że pierwotnego naturalnego krajobrazu w wielu miejscach nie ma prawie wcale, a w innych bardzo mało. Pierwotny bowiem nasz krajobraz, to duża, pełna moczarów, ostępów, puszcza, ze swymi mocarzami: turem i żubrem; tylko na południowo-wschodnich kresach Polski rozległa kraina stepowo-leśna, stanowiąca przejście do stepów trawiastych południowej Rosji. Jeżeli więc ten pierwotny krajobraz zestawi-

my z dzisiejszym, to ogarnie nas przykra refleksja. Pola u nas tak wyparły puszczę i step, że stanowią element w krajobrazie dominujący, a nawet większość lasów—to już nie te pierwotne, nieprzystępne knieje, pełne ryków olbrzymów puszczy i rozhoworu ptasząt, ale lasy kulturalne, oczyszczone, jak salon mieszczuchów w niedzielę, lasy z dominującym jakimś drzewem specjalnie protegowanym, mającym wartość li tylko utylitarną, jak np. sosna i świerk. W ten sposób świadomie, niekiedy nawet z wandalizmem, człowiek przez kilkanaście wieków zmagał się z puszczą z widocznym „zwycięzkim“ rezultatem opanowania naturalnego żywiołu. Ale naruszenie naturalnego biegu przyrody wywołuje zmiany — jeszcze inne, wtórne; wraz z topniejącą puszczą ginie tur, w naszych oczach giną żubry. tak, że nasze pokolenie jest już ostatnie, które żubra widziało w swych naturalnych warunkach, bobry również przechodzą do historji; jeszcze w 1914 roku, żyd Fischmann, w sercu Polski, bo w ziemi Nowo-Radomskiej, wycina wspaniały, największy w Europie, las cisowy; 50.000 cisów idzie na opał i opłotki, a pozostaje z tego pogromu tylko 5 do 8.000.

Jednocześnie zostaje wprowadzony do naszego krajobrazu szereg elementów obcych, zawleczonych przez człowieka, np. malownicze poetyczne bławatki, kąkole, z drzew: kasztanowce, topole włoskie, i inne.

Jeżeli teraz wybiegniemy po za granicę Polski — to zobaczymy, że prawie do każdego zakątka kuli ziemskiej sięga wpływ człowieka; nawet najmniej wdzięczną dla turystów Saharę opanowały nowoczesne tanki francuskie. Gdyby więc kultura ludzka szła dalej w tym kierunku i bezwzględnie wszędzie niosła hasło przygotowania wszystkiego „na wzór chimery myśli swej“, to może za kilka wieków z pierwotnego krajobrazu przyrody nie pozostałoby ani śladu, a ludzkość pędziłaby dalej w swym samotnym biegu w nieokiełznanym żywiole, aż pierwszy może najdrobniejszy we wszechświecie kataklizm zmiótł by to w mgnieniu oka.

Ale na szczęście wiek poprzedni i dzisiejszy przyniósł zrozumienia tego. I ciekawe, że prawie jednocześnie i niezależnie od siebie budzi się w kilku miejscach myśl, że należy od tego żywiołu uchronić pewne charakterystyczne krajobrazy, drzewa i zwierzęta i otoczyć je taką opieką, by jaknajdłużej przetrwały. Idee te głoszą przedewszystkiem przyrodnicy, którzy bynajmniej nie powstają przeciw zaszczytnemu biegowi cywilizacji, ale stawiają skromne życzenia: by na te setki kilometrów zmienionych krajobrazów, tu i owdzie zostawić choć po kilka kilometrów krajobrazu w swej pierwotnej dziewiczej szacie. Jest to nietylko wynik pewnego marzycielstwa przyrodników, oraz ich stanowiska obywatelskiego; działa tutaj również, jako podnieta, pewien intuicyjny instynkt, który wskazuje, że te zachowane w dziewiczej krasie krajobrazy mogą kiedyś służyć za teren do rozstrzygania problemów. Ale nietylko to, bo nawet w celach praktycznych, jak np. dla leśnictwa, rola tych zabytków pierwotnego krajobrazu, zachowanych w postaci t. zw. „rezerwatów“, albo „parków przyrody“ może odegrać decydującą rolę.

(D. c. n.). *January Kołodziejczyk.*

CIETRZEW.

(*Dokończenie*).

Gdy się stwierdziło, że ptak tokuje niedaleko i określiło mniej więcej miejsce, gdzie siedzi, należy zbliżać się bardzo ostrożnie, tak aby zupełnie nie być zauważonym. Najlepiej kierować się tylko uchem, nie pokazując się wcale z poza przykrycia, które się obrało. Panujące jeszcze ciemności ułatwiają zwykle zadanie, należy jednak pamiętać, aby cietrzew nie zauważył naszej sylwetki na tle nieba, co bywa najczęstszym powodem spłoszenia.

Przy sprzyjających warunkach terenowych można podchodzić nawet wyprostowanym, częściej jednak trzeba skradać się na kolanach, a czasem pełznąć na brzuchu, przypłaszczonvm do ziemi. Wprawny myśliwy potrafi podpełznąć do tokującego cietrzewia, kryjąc się za kamieniem wielkości głowy ludzkiej, malutkim krzaczkiem. albo kępką suchych ziół. Zbliżać się trzeba w czasie bulgotania, pamiętając jednak o tem, że cietrzew słyszy dobrze przez cały czas toku, a podczas czuszykania nie ruszać się wcale, gdyż wówczas ptak bada bystrem okiem okolicę i nasłuchuje najlżejszego szmeru.

Wabić można, udając ustami syczące „czuszykanie“—okrzyk bojowy. Nie zawsze jednak uda się przywabić ptaka, często odpowiada on przez czas długi, ale nie zbliża się wcale, zajęty tokowaniem, czasem znów po jednem czuszyknięciu grzmią skrzydła, ptak nadlatuje z głośnym łopotem i czuszyka, siadając w pobliżu.

Niekiedy lepiej jest wabić udając kwokanie cieciórki. Trzeba być wielkim znawcą natury cietrzewiej, aby zawsze z dobrym skutkiem wabić, wiedzieć. kiedy i jaki głos wydać i zagrać na czułych nerwach ptaka.

Strzały bywają bardzo różne, czasem dalekie, to znów bardzo bliskie. Należy używać śrótu 2,5 mm. i naboi silnych.

Polowanie to trwać może przez cały czas toku, zatem w południowej Polsce do 10 maja mniej-więcej, a na północy do połowy czerwca.

Wrogami cietrzewia poza kłusownikami są przedewszystkiem pastuszkowie, pasący bydło w pobliżu miejsc lęgowych, a szczególnie towarzyszące im psy.

Kundel taki, zwłaszcza z domieszką jakiejś rasy myśliwskiej, od rana do wieczora bobruje po krzakach i trawach, wynajdując gniazda, na których łapie siedzącą cieciorkę, później zaś odszukuje stadka młodych, dusi je kolejno i pożera. Dzielnie pomaga mu nawpół dziki pastuszek, dla którego znalezienie gniazda cietrzewiego i przyrządzenie sobie jajecznicy jest nielada gratką.

Poza człowiekiem tępi cietrzewie lis, borsuk, tchórz, kuna, gronostaj i łasica, a z ptaków drapieżnych przeważnie jastrząb-gołębiarz i sokoły. Puhacz, straszny dla ptaków nocujących na drzewie, cietrzewiom schowanym w trawie wielkiej krzywdy nie czyni, natomiast niszczą jaja i malutkie pisklęta: bocian, wrona i sroka.

W pierzu cietrzewia mieszkają pasożyty: Philopterus cameratus, Nitsch; Goniodez hetoroceros, N; Nirmus quadrulatus, N; Ixodes ricinus, a we wnętrznościach znajdują się robaki: Heterakis compar, Schank; Taenia urogalli, Mod., Taenia villosa, Bloch; Trichosoma longicolle, Rud., Heterakis tetraonis, Zürn.

* * *

Ochrona cietrzewia polega przedewszystkiem na zapewnieniu spokoju w miejscach lęgowych. Obszary, zamieszkałe przez cietrzewie, powinny być wolne od pasania bydła i wczesnego koszenia traw. Należy pilnie śledzić, by nie włóczyły się tam psy i koty bezpańskie, a drapieżniki dzikie wszelkiego rodzaju powinny być zawzięcie tępione.

Cietrzewie, jako ptaki dzikie i nie lubiące kultury, nie nadają się do hodowli w ścisłem znaczeniu tego słowa, takiej, jaką stosować możemy np. do kuropatw. Niewolę znoszą z trudnością i żywych w handlu się nie spotyka, cała więc hodowla sprowadza się do jaknajpilniejszej ochrony i stwarzania warunków, odpowiednich dla tej pięknej zwierzyny.

Jedynym czynnikiem pomocniczym, poza właściwą ochroną, jest zasiewanie leżących w głębi ostępów małych pólek owsem, mieszanką lub doborem traw i zostawianie tego plonu do późnej jesieni.

Co do polowania, to należałoby właściwie odstrzeliwać koguty tylko na toku, najpiękniejszem z polowań na cietrzewie, a jedynie na wielkich obszarach, gdzie zwierzyny tej jest bardzo dużo, można bez uszczerbku strzelać młode koguty z pod psa i stosować jesienne polowania z bałwanami, a zimowe z podjazdem.

Wszędzie należy oszczędzać kury, a także przestrzegać tego, aby nie strzelać przez dwa ranki z rzędu na jednem tokowisku, i wogóle w wyjątkowych tylko razach polować na jednem tokowisku więcej, niż cztery razy w ciągu wiosny.

* * *

Pożytek realny, jaki mamy z cietrzewia, to smaczne, zdrowe i pożywne mięso. Stare ptaki, zwłaszcza w zimie i na wiosnę mają mięso nieco twarde i niekiedy gorzkawe, latem jednak są bardzo smaczne, młode zaś, tuczone na jagodach, dają pieczyste tak wyborne, że się nie da porównać z żadnem innem.

Pozatem wachlarze cietrzewi, rozpięte i oprawne w drzewo, są ładnem trofeum i upiększeniem ściany gabinetu myśliwego.

Włodzimierz Korsak.

AFRYKAŃSKIE ŁOWY

Polowanie na hipopotamy

(*Dokończenie*)

Jeden z hipopotamów ogromny, o błyszczących w świetle księżyca kłach, szedł wprost na mnie; drugi, cokolwiek mniejszy, trzymał się bardziej z tyłu i w prawo odemnie. Od razu było widać, że ten pierwszy był ranny, bo miał krwią nabiegłe oczy i sapał gniewnie, podczas kiedy drugi zwierz zachowywał się zupełnie spokojnie. Zdecydowałem się prędko. Przykląkłem na jedno kolano i dopuściwszy bestję na 30 kroków strzeliłem, celując w pierś, pomiędzy szyję i łopatkę. Hipopotam zawrócił w miejscu, nim zdążyłem strzelić po raz wtóry i umknął w zarośla. Wiedząc, że w tamtych stronach jest pan D., zająłem się drugim hipopotamem i zobaczyłem go, jak zwrócony do mnie bokiem, kierował się ku rzece. Wziąłem go więc dobrze na cel i mierząc w okolice serca, dałem strzał z drugiej lufy. Reżultat tego strzału był tak nieoczekiwany, że narazie nie wierzyłem własnym oczom; hipopotam stanął, zachwiał się, ukląkł na przednie kolana, potem na tylne i głowa opadła mu na ziemię. Przerachowałem kroki: było ich 67. Z całego ówczesnego polowania strzał ten zrobił mi chyba największą przyjemność.

Usiadłem teraz na zabitym zwierzu, czekając co dalej będzie. Tymczasem pierwszy hipopotam zaczął się tłuc w tem pasmie rzadkich zarośli, chodząc tam i z powrotem i parskając wściekle; z jednej strony nie mógł się widać zdecydować na zejście ze stromego brzegu rzeki, z drugiej — nie chciał wyjść na otwartą polanę, na której już dostał porządne cięgi. Sapał więc ciągle ze złości, my zaś, z dwóch różnych przyczyn nie podchodziliśmy go. Pan D., jak mi to później sam wyjaśnił, rozumiał całe niebezpieczeństwo podchodzenia rannego i rozjuszonego zwierza, ja zaś, mając według mego rachunku conajmniej cztery hipopotamy i gorszą broń, chciałem koledze pozostawić pierwszeństwo; o niebezpieczeństwie jakoś zupełnie nie myślałem. W końcu, zirytowany długiem czekaniem, postanowiłem raz z tem skończyć, i kiedy hipopotam znalazł się po prawej stronie zarośli, począłem się ku nim skradać, mając broń przygotowaną do strzału. Tymczasem sapanie umilkło i nastała cisza. Przekonany, że hipopotam uszedł przez rzekę, zły na siebie za spóźnienie się i wypuszczenie go, ruszyłem trochę prędzej i przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, bez wszelkich ostrożności wychyliłem się z za wystającego w tem miejscu krzaka wprost na przerwę w zaroślach; i nagle zobaczyłem hipopotama wprost przed sobą, o parę kroków zaledwie, jak stał zwrócony do mnie, węsząc w powietrzu. Musiał mnie poczuć, czy usłyszeć już przedtem i zapewne dlatego stał tak cicho. Nie zdążyłem jeszcze zorjentować się

Ubiegła zima a horoskopy łowieckie

(*Dokończenie*)

To, że w ciągu trzaskających mrozów zwierz pada, że jest wyczerpany, co ułatwia grasowanie zwierzynie drapieżnej, zwiększa nieunikniony ubytek naturalny z tem połączony, zmniejsza stan ilościowy, wpływa ujemnie na rezultaty polowań, następnie narzekanie na coraz gorszy zwierzostan — to wszystko nasza własna tylko wina, jeśli nie stosujemy umiejętnych, nauką i doświadczeniem popartych środków hodowli.

Ten procent zwierza, który padnie pomimo stosowania środków powyższych, jest ubytkiem nawet korzystnym, bo selekcja wkracza wtedy pomiędzy osobniki chore, słabe, nieodporne i niedorodne, które dla podtrzymania zdrowej rasy wyginąć powinny.

4) Jeszcze jedna wskazówka ogólniejszej natury, t. j. stwarzanie warunków zwabiających, bądź utrzymujących zwierzynę w kniei. Trzeba jej dawać to, co ona szczególnie wyróżnia, co lubi, co ją przywiązuje niejako do miejsca, a zabezpiecza przed wchodzeniem na obce łowiska. Wprowadzać zatem powoli, ale systematycznie i stale taką wegetację roślinną do kniei, którą zwierzyna przekłada nad inną, która jej smakuje i daje żer zdrowy, odżywczy. Wymienię środki takie, które u nas dadzą się wprowadzić. Dzika jabłoń, dzika grusza, dziki kasztan, akacja, wierzba, jałowiec, żarnowiec, bulwy topinamburowe, rzepak i jarmuż.

W każdym lesie znajduje się zawsze tyle miejsca, że powyższe odmiany mogą bez żadnej szkody dla gospodarstwa leśnego znaleźć skromne miejsce dla siebie. Brzegi rowów, halawki beznadziejnie zadarnione, nieużytki, stoki, brzegi łąk, miejsca na których zalesienie się nie powiodło i nie pora już na dalsze uzupełnienia, nadają się doskonale do obsady wymienionej roślinności wyłącznie dla zwierzyny.

Dzikie drzewa owocowe są ulubionym smakołykiem zwierza, gdy więc leśnik sadzi miljony drzew leśnych, czyż nie może posadzić kilkudziesięciu sztuk specjalnie dla celów łowieckich? Akacja jest ze specjalnem zamiłowaniem objadana przez zające na szczerych piaskach, posadzić więc tu i owdzie kępkę, zwłaszcza, że to procedura łatwa.

Wierzbę wyróżnia zwierz każdy, bo kora jej jest najwięcej soczysta. Jałowiec działa uzdrawiająco na trawienie zwierzyny, także do wycierania poroża kozioł chętnie wyszukuje elastyczną jego strzałkę.

Żarnowiec to wdzięczny, zawsze zielony pseudokrzew, bo i łatwo dający się wprowadzić (: siać go wczesną wiosną w pasy lub gniazda na glebie spulchnionej do 6 cm. głęboko, dodać trochę próchnicy i przykryć nasienie całkiem cienką warstwą :) i stanowi o każdej porze wyborowy żer. Unikać wprowadzenia go między uprawami, gdyż zako-

---

w sytuacji, kiedy zwierz rzucił się na mnie. Odskoczyłem w bok i znów ujrzałem go tuż przed sobą. Przyparł mnie w kąt pomiędzy gęstwę zarośli i duży krzak. Poprzednio już stwierdziłem, że zarośla te i pojedyńcze krzaki składały się z kolczastych roślin, o których wspominałem na początku niniejszego opowiadania, zdawało się więc, że niema już dla mnie ratunku. Czułem tuż za sobą gorący oddech i sapanie — i wówczas, jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem mięśni, spowodowanym chęcią ocalenia się od strasznej śmierci, skoczyłem poprzez jeden z krzaków. Był on prawie równej ze mną wysokości, jednakże rzut był tak silny, że przewaliłem się na drugą stronę, padając głową w dół. Błyskawicznie przeleciało mi przez myśl, że teraz hipopotam z wszelką pewnością zmiażdży mnie swem cielskiem. I stało by się tak niezawodnie, gdyby nie dziwny wypadek. Oto skacząc, nie wypuściłem z ręki sztucera, który przy uderzeniu o ziemię wystrzelił z jednej lufy, właśnie w kierunku atakującego mnie olbrzyima. Czy go trafiła kula, czy tylko nastraszył huk i błysk wystrzału, nie wiem, dość, że rzucił się w bok i uciekł, z trzaskiem łamiąc krzaki po drodze. A mnie ogarnęła przeogromna radość z uratowanego życia. Nie myślałem o niczem, czułem tylko że żyję, że nic mi nie jest, i że to coś niewypowiedzianie strasznego co było tuż, minęło i nie wróci! Nie zastanawiałem się nad tem, jak się to stało i czy był to naturalny zbieg okoliczności, czy szczególny traf. Przenikała mię dziwna lekkość i uczucie takie, jak bym się po śmierci nanowo na świat narodził. Po pewnym czasie, gdy stojąc już, otarłem ręką twarz, sądząc, że to pot spływa mi z czoła, ze zdziwieniem zobaczyłem krew; również silnie podrapaną miałem odkrytą pierś—bólu jednak wcale nie czułem...

Po pewnym czasie usłyszałem głos pana D.; wołał na mnie, zaniepokojony mojem zniknięciem i milczeniem. Odezwałem się natychmiast, ale podejść doń, okazało się rzeczą zupełnie niemożliwą, bowiem ze wszystkich stron byłem otoczony kolcami. Dopiero strzelcy pana D., dużemi nożami, które zawsze noszą ze sobą, wyrąbali przejście i oswobodzili mnie z tego dziwnego więzienia. Po wydostaniu się na wolność, wzajemnym pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Okazało się, że pan D. zabił dwa hipopotamy, choć ranił ich kilka, ale za to jeden z zabitych był kolosalnych rozmiarów, bodaj czy nie największy ze wszystkich, jakie widziałem tej nocy.

Wkrótce ruszyliśmy w stronę obozu i doszliśmy doń bez żadnych nadzwyczajnych przygód. Nazajutrz odnalazłem swoje cztery hipopotamy; ile ich poginęło zaszytych w krzakach, od kul moich i pana D., to pozostało na zawsze tajemnicą puszczy. Skorzystały z tego hjeny, szakale i sępy. Kawał skóry i lustro oprawne w kły hipopotamów, pozostały mi jako pamiątka z tych nadzwyczajnych łowów.

Bronisław Gordziałkowski.

rzenia się silnie i zbyt rozmnożony staje się plagą, lecz stosować brzegami rowów i na większych haliznach, gdyż jest wrażliwy na wymogi światła.

Bulwy topinamburowe wystarczy posadzić w niewielkiej ilości, cebulki zczasem się rozpleniają, a tak one, jak mięsiste liście zwierzyna bardzo chętnie objada.

5) Stosowanie pługa śniegowego w czasie nawalnych śniegów—jest także koniecznością o daleko idących następstwach.

Jeżeli tedy — reasumując wszystko — będziemy o zwierzynę dbali racjonalnie, podawali jej zdrową i odżywczą karmę, zabezpieczali jej byt wprowadzaniem smakołyków, a więc chronili przed koniecznością opuszczania kniei, dostawania się w potrzaski i sidła, szukania żeru między opłotkami, sadami i pośród wsi, gdzie łatwo ulega zniszczeniu — jeżeli zapewnimy zwierzynie siłę fizyczną i odporność przeciw akcji zwierzyny drapieżnej, a temsamem podniesiemy ilościowo stan—co stać się musi przy ogólnem, umiejętnem, i systematycznie prowadzonem wysiłku—wtedy odpowiemy zadaniu i ze spokojem będziemy sobie mogli powiedzieć, że nasza praca nie poszła na marne.

W łowiectwie nie można upatrywać tylko przyjemności, sportu i rozrywki—trzeba także pomyśleć o umożliwieniu warunków bytu temu zwierzowi, dzięki któremu mamy tę przyjemność, trzeba poświęcić trochę pracy i pieniędzy, trochę wstrzemięźliwości, a wtedy i zadowolenie nasze wzrośnie i liczebny rozrost zwierzostanu wpłynie dodatnio na rozwój ekonomicznego znaczenia łowiectwa dla kraju.

Cześć łowcom!

Inż. Wiesław Krawczyński.

Dąbrówki, dnia 31 marca 1924 r.

Gawęda myśliwska.

Stary Szymon, chudy, kościsty, łysy jak kolano, z nierozłączną fajeczką w zębach, torbą borsuczą przez ramię i garłatą pojedynką pod pachą, znanym był w całej okolicy. Był to tak sympatyczny, a wygasły już dzisiaj, typ starego sługi, którego przyjacielski niemal stosunek wiązał z dworem, a przywiązanie doń było bez granic. Wykierował on paniczów z dwóch pokoleń na dzielnych myśliwych—oddawano mu ich pod opiekę z całem zaufaniem, będąc pewnym, że stary Szymon wpierw głowęby swą oddał, nimby dopuścił, aby ukochanego panicza jakaś zła przygoda spotkać miała.

Myśliwym był doskonałym i żadne większe polowanie bez niego się nie obeszło, gdyż rady jego i wskazówki wielce były cenione i każdy się ubiegał o wyznaczenie przezeń stanowiska, gdy bowiem powiedział, że tu wyjdzie lis, a tu wilk, to pewne było jak amen w pacierzu.

Po skończonym myśliwskim sezonie pilnował łanów i włościanie strasznie go się bali, gdyż skoro który sprobował zakraść się z końmi na pańskie, Szymon jak z pod ziemi wyrastał.

Nie przeszkadzało mu to jednak i zwierzyny pilnować; wiedział doskonale, ile w którem z licznych tu jeziorek wylęgło się kaczek krzyżówek i cyranek, kiedy na żer wychodzą, kiedy latać zaczynają na grykę i w którem miejscu najlepiej się usadowić, by jak się zlecą, „pociągnąć“ wzdłuż pokosu i kilkanaście naraz położyć, co mu się nieraz trafiało; gdzie najlepsze tokowisko cietrzewi, największy ciąg słonek, gdzie nory lisie, gdzie borsucze, gdzie gniazdo wilków, w której lipie kuny się wywiodły, jednem słowem, nic przed jego bacznym wzrokiem ukryć się nie mogło.

Miał też w swej wieloletniej praktyce myśliwskiej mnóstwo ciekawych zdarzeń, które chętnie opowiadał. Jedno z nich, jako wielce komiczne powtórzyć pragnę, nadmieniając przytem, że chociaż za autentyczność takowego ręczyć nie mogę, lecz nigdy nie zdarzyło mi się Szymona na koloryzacji złapać, wbrew ogólnemu przekonaniu, że prawie każdy myśliwy talent ten posiada.

Otóż, obszedłszy nocą łany, o świcie przysiadł na kopcu granicznym; łowił starem, ale wprawnem uchem z lubością wszystkie głosy, które w cichy majowy poranek tak mile słyszeć się dają — „der, der,“ chruściela, „pit-pilit“ przepiórki, śpiew skowronka — gdyż wszystkie te głosy miały oddźwięk w jego prostej, szczerej duszy, doskonale je rozumiał i po swojemu tłumaczył. Rozmarzony temi głosami, świeżością poranku i całonocnem czuwaniem poczuł skłonność do drzemki, zdjął więc czapkę, zmówił: „Kiedy ranne“ i wyciągnął się na miedzy z głową na torbie, która mu za poduszkę służyła, nakrywszy flintę połą kapoty, aby rosa kapiszona nie zmoczyła. Tu oddaję mu słowo: „Pamiętam doskonale, że gdym się do drzemania układał niebo było bez chmurki i na deszcz się nie zanosiło — bo to i rosa była obfita i bąk w odległym jeziorze na pogodę buczał i od nowiu pogoda była stała, więc pewna—aż tu raptem —jak-to że bardzo czujnie śpię—budzi mię deszcz ulewny spadający na łysinę strumieniem, ale tak ciepły, daleko cieplejszy jak bywają deszcze majowe — prawie gorący.

Kiej djabeł! myślę sobie jeszcze nawpół we śnie—więc rozbudzam się zupełnie, otwieram ślepie—a tu mi słonko jak bania bez chmurki wschodzi — więc skąd-że deszcz? Zrywam się przelękły, bo deszczu niema, a z łysiny się leje i w dodatku coś cuchnącego, obzieram się i widzę że ogromne wilczysko, które ze swą starą w Czarnem Błocie ma gniazdo pod wykrotem i pięcioro szczeniaków — biegnie sobie truchcika miedzą już o jakich sto pięćdziesiąt kroków odemnie i coraz zwraca się całą połową, jako to że karczyska zgiąć nie może i pogląda na mnie, jakby się kontentował.

Ach ty sobako! chwytam flintę i choć wiem, że go nie dosięgnę, lecz jak wygarnę za nim... nie spodziewał się tego jucha, ale choć go nie zabolało, nie lubi on bardzo tego huku, bo wie czem to pachnie, jak więc nie urwie z kopyta, aż się zakurzyło za nim. A ono złodziej wracał sobie z nocnej wędrówki miedzą i natknął się na mnie—pewnikiem zadygotało w nim ze strachu, ale widząc, że się nie rucham, nabrał odwagi, obszedł mię dwa razy wokoło com wyrozumiał po śladach na rosie, i nakoniec żeby pokazać swą odwagę, jak to i psy robią, podniósł nogę, zlał mi, panie, całą łysinę i dał drapaka! Zaprzysiągłem sobie, że mu tego afrontu nie daruję—bo to jeszcze jakiem przyszedł do domu, to mój poczciwy Zagraj, co się zawsze ze mną wita, gdy podszedł, natychmiast odskoczył i wyć zaczął. Spodziewał się widać wilczysko, że mu ta sztuka na sucho nie wyjdzie, bo był jeszcze ostrożniejszy — na wab nie poszedł nigdy, gdy była obława, na której padła jego stara i wszystkie pięcioro młodych — wykradł się między naganką, aż mu któryś tyczką po żebrach zmacał, ale na strzelców nie poszedł; potem przez dwie noce chodził po kniei i zawodził, ale choć się odzywałem jak basiora, nie poszedł. Aż dopiero jakoś przed Bożem Narodzeniem idę raniutko drożyną lasem i stanąłem pod sosną by lulkę zakurzyć — aż widzę zdaleka coś majaczy — bo to i śnieżek prószył; jakby mię tknęło—odwiodłem cicho kurka, złożyłem się z za sosny i czekam;—patrzę—a on biegnie spokojnie kłusikiem na sztych; przypuściłem na kroków pietnaście i odzywam się: a może znów nogę zadrzesz psia wiaro! Zgłupiał tak, że aż przysiadł. No i zadarł, ale wszystkie cztery nogi bo jakiem gruchnął, to cały nabój loftek w szyję mu wpakowałem".

Szkoda wielka, że zaginął typ takich Szymonów, których gawędy słuchało się z przyjemnością nieraz noc całą przy ognisku w lesie polując wiosną na głuszce.

Ale inne czasy—inni ludzie.

A. Terpiłowski.

Słów kilka o łowiectwie.

W czasach przedhistorycznych ród ludzki w stanie dzikim żyjąc i będąc otoczony drapieżnemi zwierzętami wieczną z nimi toczył walkę dlatego, że będąc słabym fizycznie widział w nich groźnego dla bytu swego wroga oraz, że stanowiły one główne źródło odzienia i wyżywienia. Samo więc położenie, w którym ród ludzki początkowo się znajdował, zniewalało go do uprawiania łowiectwa.

Ponieważ łowiectwo pierwszym i najważniejszym było zatrudnieniem człowieka, przyczyniło się ono wiele do pierwszego związku życia towarzyskiego, wobec czego w jego powstaniu i rozwoju niezawodnie spoczywa kamień węgielny dalszego rozwoju cywilizacji ludów. Łowiectwo połączyło szczepy jednego plemia w gromady, które z biegiem czasu, mianując się jednym imieniem, występują na widownię świata jako oddzielny naród. Tak powstali Grecy, Frankowie, Germanowie i Słowianie, o czem świadczy Herodot, Tacyt, Prokopius i inni historycy. Ówczesne życie tych ludów wolne jak i zwierząt wspólnych mieszkańców pierwotnych puszcz, stała walka o byt ze zwierzem przewyższającym ich siłą fizyczną, wytworzyło w nich wielki hart ducha i niewyczerpane siły fizyczne. I dziś jeszcze wiele szczepów jak Wogały, Ostiaki, Tunguzi i inne, jedynie łowiectwem się zajmują i tylko u nich znaleźć można obraz łowów pierwotnych. Podobnie jak ongi Germanina lub Słowianina, widzieć dziś można w skórę zwierzęcą zaszytego Wotiaka, mieszkańca odwiecznej puszczy syberyjskiej lub Tunguza i Czeremisa samotnie polujących i pokonywujących okrutnego niedźwiedzia polarnego, rysia lub wilka, snujących się całymi tygodniami po niezbadanych obszarach leśnych przeplatanych górami, rzekami i bagnami, bez kompasu i żywności, t. j. w warunkach, w których cywilizowany Europejczyk zginąłby niechybnie. W pierwszych więc tylko czasach istnienia rodu ludzkiego, kiedy puszcze zajmowały olbrzymie przestrzenie, a zwierzostan był obfity, każdy polował gdzie chciał; była to epoka pierwsza.

W miarę zaś powiększania się ludności, kiedy siekiera i motyka w miarę potrzeby stopniowo usuwały puszcze, teren łowów się zmniejszał i liczba zwierząt ubywała, wówczas przebiegłość i przemoc silniejszych lepsze przestrzenie łowne wyłącznie sobie przywłaszczyła i z biegiem czasu łowiectwo stało się przywilejem najmożniejszej klasy, która nie chcąc dzielić z niższym stanem praw tych, wyjednała przeciw niemu surowe prawa, wzbraniające mu udziału w łowach, następstwem czego było stopniowe przejście rodu ludzkiego od łowiectwa ku pasterstwu, a następnie ku uprawie roli.

Taki stosunek prawny trwał długie wieki.

Historja narodów europejskich opiewa, że łowy dla stanu rycerskiego do końca XIV wieku były szkołą ćwiczeń wojennych i dlatego w owych czasach łowiectwo pozostawało nawet pod opieką panującego. W tym celu Karol Wielki i jego następcy jak również i Bolesław Chrobry, Krzywousty, Jagiełło i inni, jak kronikarze o tem wspominają, rycerzom swoim często łowy wyprawiali, na których ci ostatni siłą i odwagą wobec króla się popisywali.

Ten stan rzeczy, w którym klasa możnych łowiectwo sobie przywłaszczyła i zwierzynę nie dla korzyści, lecz dla rozrywek jedynie hodowała, wytworzył epokę drugą.

W czasach ostatnich, które obecnie przeżywamy, wolność źle zrozumiana pociąga za sobą kompletne wytępienie zwierzyny. To jest właściwie epoka trzecia. Każda z tych epok, jak i całe dzieje ludów są skutkiem rozwoju kultury, a zatem i sposobu myślenia: na wpół dziki człowiek siłą rzeczy

zmuszony był stale walczyć ze zwierzętami, by posiąść odzież i wyżywienie oraz utrzymać nad nimi stałą przewagę; w wiekach następnych, gdy wiele okazów zupełnie zniknęło i zwierzostan wogóle zmalał, już go starano się hodować, lecz jedynie dla uciech i zabaw możnych tego świata; obecnie zaś, kiedy każdy rodzaj zwierzyny może być niemal policzony na sztuki, nasz kmiotek poczciwy i różni jemu podobni, żądni jedynie mięsa lub korzyści materjalnej, na wzór człowieka przedhistorycznego, nie myśląc o przyszłości, pozostałą zwierzynę starają się wytępić. Zestawiając wszystko powyższe, przychodzimy do smutnego, lecz prawdziwego wniosku, że aczkolwiek doszliśmy stopniowo od stanu dzikiego do obecnego stosunkowo wysokiego szczebla kultury, jednak tylko surowe prawo ograniczające prawa większości jak w wiekach średnich, uchronić może zwierzostan od kompletnej zagłady, bo w wielu wypadkach pod powierzchowną ogładą człowieka, ukryte są instynkty stanu pierwotnego. Wychodząc z założenia, że niektóre rodzaje zwierzyny jak inwentarz domowy, stałej opieki potrzebują, że stopień rozmnażania się zależny jest od ilości posiadanych zdrowych egzemplarzy zdolnych do rozpłodu, maksymalne szkody wyrządzone gospodarstwu rolnemu przez najobfitszy nawet zwierzostan, racjonalnym odstrzałem pewnej jego ilości rok rocznie sowicie się opłacają. Sąsiedzi nasi Niemcy wieloletnią praktyką to stwierdzili i oddawna zwierzynę hodować zaczęli. Surowe prawo i wyższość kultury, doprowadziły do tego, że już wiele lat temu, nawet z pól gminu dzierżawca polowań w budżecie sezonu, ubicie z każdej włóki ziemi od 10 do 15 zajęcy i do 50 kuropatw przewidywał.

U nas zaś po za nielicznemi jednostkami, które do podobnie licznego stanu dobrą gospodarką zwierzostan swój doprowadzili i wielkie korzyści i satysfakcję z tego mają, ogół nie tylko, że o tem nie wie, lecz i pozostałe jednostki wszelkimi sposobami tępi.

I dziś, tam, gdzie jeszcze lat temu kilka, zwierzyny było sporo, przejdziesz kilometry i zająca nie spotkasz. Są to skutki złej woli, zachłanności, braku surowego prawa i organów wykonawczych.

Jak to długo potrwa, czy dotąd, aż wszystko wybite zostanie „co do nogi“?

Niestety, ale tak to ta czwarta epoka łowiectwa zapowiada się u nas.

A. Łochtin.

JELEŃ KARPACKI

a uchwała Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych co do zamknięcia polowania na jelenie w lasach karpackich na przeciąg dziesięciu lat.

W Nr. 2 z lutego 1924 r. „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ na stronie 14 w artykule „Z Towarzystw Myśliwskich“ — w sprawozdaniu z Walnego Zebrania Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych z dnia 26 (b. m.) zapewne stycznia r. b., spotykamy uchwałę tegoż zebrania, która zapadła zapewne na wniosek wysnuty z referatu p. prof. d-ra Niezabitowskiego, ażeby, celem ochrony Karpat przed zupełnym zanikiem jeleni, zamknąć polowanie w lasach państwowych (a dla konsekwencji może i w prywatnych) na lat dziesięć.

Myśl ta jest bardzo piękna i wedle mego zdania zasługująca na wszelkie uznanie, o ile wnioskodawcy leży na sercu ochrona zwierzyny łownej, zwłaszcza króla karpackiej kniei jelenia. Jednakowoż ten wniosek jest dość śmiały i ryzykowny, tem bardziej, że przecież mamy we Lwowie „Małopolskie Towarzystwo Łowieckie“, które jako lokalne i obznajmione jaknajdokładniej ze stosunkami i ze stanem jeleni w Karpatach byłoby może najwięcej kompetentnem do zabrania w tej sprawie decydującego głosu.

Gdyby Ministerstwo Rolnictwa miało wziąć powyższy wniosek uchwały Oddziału Poznańskiego Związku Myśliwych pod rozwagę, należałoby zrobić ankietę, sprawę należycie omówić i powziąć decyzję.

Pomijając dochody jakie wpływają z dzierżawy polowań karpackich do kasy państwowej, niewiem czy nie natrafi się na pewne trudności ze strony dzierżawców, z któremi przecież zawarte są prawne kontrakta, a których punktacje nie są dokładnie znane.

To jest moja przedwstępna myśl, co do zapadłej uchwały w sprawie zamknięcia polowania na jelenie w Karpatach przez walne zebranie Oddziału Poznańskiego Polskiego Związku Myśliwych.

Teraz co do samej sprawy zwierzostanu jeleniego w Karpatach i polowań na jelenie pozwolę sobie bliżej opisać genezę jelenia w Karpatach od pół stulecia wstecz po dzień dzisiejszy.

Nie piszę w tej sprawie tego, co może gdzieś czytałem, lub mi ktoś opowiadał, tylko z własnego doświadczenia i własnej praktyki, jako taki, który ma za sobą 50 lat praktyki łowieckiej w Karpatach, a z tego 31 lat w centrum Karpat w lasach Państwowych w Mizuniu, gdzie stan jeleni prawie na tysiące sztuk liczono. Obecnie dalej praktykuję w Karpatach w Wetlinie pow. Lisko tuż nad granicą czesko-słowacką w majętności dóbr barona Greudla jako administrator tychże dóbr. Piszę jako pięćdziesięcioletni praktykant karpacki, co trochę widział i nauczył się, skorzystał i chętnie podzieli się swemi spostrzeżeniami i zdobytą praktyką z szanownemi współwyznawcami św. Huberta.

Niestety w polskiej literaturze nie mamy dzieła specjalnie traktującego o jeleniu karpackim.

Niemieckie zaś dzieła, w szczególności „das Rotwild“ — Raul Ritter von Dombrowski lub „Die Hohe Jagd“ dzieło komulatywne, są to piękne dzieła i nader fachowo opracowane, ale mało co mają wspólnego z jeleniem karpackim, bo to nie jest jeleń alpejski, z nad Dunaju lub jakikolwiek inny, Karpacki jeleń jest odrębnym typem jelenia, który w Karpatach występuje w dwóch okazach, jako Cervus elaphus i Cervus maral.

Cervus elaphus jest to zwykły jeleń europejski a raczej kaukaski, Cervus maral jest skrzyżowany, Cervus elaphus z jeleniem amerykańskim Cervus vapiti. Różnica charakterystyki tych dwóch gatunków, względnie trzech wraz z jeleniem amerykańskim C. vapiti jest ta, że Cervus elaphus, zwykle posiada przy rogach gałęź oczną, nadoczne, które to ostatnie czasem ubywają i są przeważnie krótsze od ocznej, potem środkowe i koronę.

Cervus maral, który miał powstać ze skrzyżowania Cervus elaphus'a z jeleniem Cervus vapiti, w czasach kiedy jeszcze Azja była połączona z Ameryką lądem stałym, ma obecnie rogi również duże jednakowoż tej formacji, że na rogach „marala“ tworzą się: gałęzie oczne, dalej nadoczne, które są prawie jednakowej długości, jak oczne, czasem nawet dłuższe, następnie środkowe nieco krótsze jak nadoczne, poza środkową tworzy jeszcze jedną gałęź, która się nigdy nie rozdwaja tak jak, u jelenia Cervus elaphus'a, a potem dopiero następuje korona, wględnie gałęzie, które się rozdwajają.

Tego właśnie gatunku Cervus maral jest w Karpatach bardzo mało, przeto rzadko kiedy można się z nim spotkać. Mam u siebie taki okaz, ale tylko jeden, na Kaukazie spotyka się go częściej.

W czasie mej 31-letniej praktyki łowieckiej w Karpatach, głównie w Mizuniu, gdzie polowanie dzierżawił b. arcyksiążę austrjacki Leopold Salvator od roku 1895 do 1918, tj. przez 23 lat, miałem przyjemność z urzędu państwowego być kierownikiem jego polowań.

Arcyksiążę przyjeżdżał rok rocznie z całą świtą swych gości, tj. różnych arcyksiążąt, cesarskich i królewskich wysokości, książąt, generalicji, excelencyj etc., zwykle 6—8 osób świty.

Aby takim panom dogodzić i ze swego zadania wywiązać się, a przy tem nie utknąć i pokazać, że się na rzeczy rozumie (bo nawiasem mówiąc, ci panowie byli znakomicie w łowiectwie przez dzielnych niemieckich myśliwych wyszkoleni) trzeba było dużo i czytać i uczyć się, a co najważniejsze, samemu nabierać praktyki lokalnej, bo tego z żadnej książki nikt nie nauczy się, zresztą książek takich dla jelenia karpackiego niema.

Wiem, że przeważna część myśliwych, że się tak wyrażę „jeleniarzy“—to czego się uczą z jelenioznawstwa, to tylko w krótkim czasie pobytu w lesie, w czasie głównego rykowiska z niemiecka „Orgelu“ — a tak przed, jak i po rykowisku głównem, już ich niema w lesie, bo niema poco tam być: jelenie przestają ryczeć, a przyjemność ta trwa zwykle 3, 4, a może najwyżej 8 dni.

U mnie działo się trochę inaczej, bo stosunki służby tego wymagały; mieszkałem przez 31 law centrum Karpat, gdzie jeleni było mnóstwo, w nie, których kotlinach ryczało nieraz 50 — 60 jeleni, a w czasie rykowiska przy byku można było często spotkać 12, 15, 18, a jednego razu widziałem 25 łań.

Miałem więc sposobność obserwować jelenie 4 — 8 dni, ale przez cały rok, tj. wiosną, latem jesienią i zimą.

Polowanie trwało zwykle i regularnie 2 tygodnie, a kilka razy 3 tygodnie. Swoją drogą trzeba było już przynajmniej na 4 tygodnie przed polowawaniem uporządkować ścieżki, schroniska, poprzerębywać grzbiety i dostęp do głównych rykowisk, a w końcu wysłuchać dobrze jelenie, aby wiedzieć, gdzie kogo posłać. Spuszczać się na podrzędną straż leśną to nie doprowadzi do celu. Kto ma zamiłowanie do polowania, zwierzyny i lasu, ten sam musi się pofatygować, aby się przekonać i czegoś nauczyć.

Wprawdzie miało się sporą ilość straży leśnej do dyspozycji, ale przedewszystkiem trzeba było wszędzie samemu zajrzeć i przekonać się co zrobiono, jak wygląda robota, a co porabia jeleń i jak się zachowuje.

Przeto przyzna każdy, jeśli ciągle w lesie przebywa się przez cały rok, a przed i w czasie rykowisk, całemi tygodniami, to można dużo zaobserwować a później coś pewnego i stanowczego powiedzieć.

A ponieważ w czasie rykowiska i polowań zawsze sam chodziłem z arcyksięciem przez 2—3 tygodnie dzień w dzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, i to od rana od 3-ej lub 4-ej, nie wracając do schroniska prawie nigdy przed 8 godziną w nocy, przeto miał człowiek dużo sposobności do obserwacji. Lasy Mizuńskie wynosiły wówczas 52,000 morgów, sąsiednie zaś rewiry prywatne, jak Skolskie, wynosiły 63,000 morgów, Wełdzirzkie również prywatne 64,000 morgów, a państwowa Polanica również około 40,000 morgów, miało się więc morze lasów, które i tak na prawo i na lewo rozciągają się dalej prawie w nieskończoność jedne na wschód aż po Bukowinę, a na zachód po Tatry.

Jelenie, których eldoradem są lesiste Karpaty, a głównie i przeważnie najniedostępniejsze miejsca, gdzie jak najmniej ludzka noga dochodzi — mając tak ogromne przestwory morza leśnego czuły się w swym żywiole.

W roku 1874, kiedy wstąpiłem do rządowej służby leśnej, właśnie w rewirach Kalna, Mizuń i Nowosielica, które później złączono w jeden z największych rewirów leśnych w Austrji, t. j. Mizuń o jeleniu prawie nic nie słyszano. Jeleń był rzadkością i opowiadano o nim jak o cudach w bajce i to tam, gdzieś w okolicy, od węgierskiej strony. Rzecz się też i nie mogła mieć inaczej, bo cóż by był ten biedny jeleń robił w tej ciemnej nietkniętej dziewiczej puszczy leśnej, gdzie prócz mchów i szpilek świerkowych lub jodłowych, a miejscami suchych liści bukowych nic do pożywienia nie znalazł.

(D. c. n.) *Jan Marcinków.*

RYBOŁÓWSTWO

Konserwy rybne.

Stan rybactwa polskiego skupił przetwórczy przemysł rybny na wybrzeżu morskiem. Przemysł ten ogranicza się u nas jedynie do wędzenia, konserwy rybne bowiem nie produkują się wcale, jakkolwiek jestčto o wiele korzystniejszy sposób spieniężenia połowów.

Z poławianych u nas gatunków ryb, jak flondra, szprot, makrela, węgorz i śledź wszystkie wędzone są na wybrzeżu, inne, jak sieja, łosoś, pomuchla, kwapa, jak również słodkowodne z zatoki Puckiej — szczupak, płotki, okonie są sprzedawane w stanie świeżym na wybrzeżu do Gdańska.

W Helu, Borze, Jastarni, Pucku, Wielkiej Wsi, Karwi, Chłapowie, Kuźnicy, Chałupach, Oksyńskich Piaskach, Rawie i Gdyni znajduje się cały szereg wędzarni, z których najpierwsza powstała w Pucku w 1898 r., następne dwie w 1904 i 1906 r. w Helu, wszystkie inne znacznie później, między 1907 — 1923 r.

Na podstawie materjałów zebranych przez Morski Urząd Rybacki możemy podać zestawienie, które da nam pojęcie o produkcyjności wędzarni, ilości pracowników stałych i sezonowych, ilości pieców oraz przerobionych gatunkach ryb.

Miejscowość	Ilość wędzarni	Ilość pieców	Ilość pracowników		Ilość którą wędz. może przerobić dziennie w tys. klg.	Przerobiono ryb w tysiąc. klg. w 1923 roku						Razem
			stałych	sezonowych		szproty	śledzie	flondry	węgorze	brzony	makrele	
Hel	4	21	7	49	6 —10,4	180	85	8	2	—	—	276
Bór	2	6	3	11	1,3— 1 6	65	20	8	7	—	—	100
Jastarnia	10	50	22	120	13,6 – 18,5	1.095	195	23	7	—	—	1.320
Puck	7	32	10	65	6,9—10,7	46,5	10,6	6,9	1,5	2,15	2,85	70,5
Wielka Wieś . .	1	4	1	10	0,7— 1,5	31	3	—	0,2	—	—	54 2
Karwia	2	6	2	14	1,4— 2,3	10	2,5	11	—	—	—	23,5
Chłapowo . . .	1	5	1	10	1,5— 2	10	0,5	0,3	—	—	—	10,8
Kuźnica	7	23	10	60	5,5— 6,8	46 5	64,7	1,2	1,2	—	0,5	114
Chałupy	1	2	3	—	0,3— 0,5	1	—	—	0,1	—	—	1,1
Gdynia.	1	12	3	20	2,5— 3	50	20	6	—	—	—	76
Oksyńskie Piaski .	1	6	1	10	1 — 1,5	3	0,5	—	—	—	—	3,6
Rewa	1	2	1	4	0,5— 0,8	—	—	—	—	—	—	—
Ogółem .	38	159	64	373	40,9 – 59,6	1.538	401,8	64,4	18 9	2,15	3,35	1.028,6

Wędzeniem oraz przerobami ryb na konserwy zajmuje się w Gdańsku 8 firm niemieckich.

Firmy te posiadają po kilkanaście pieców do wędzenia, w których wędzą szproty, śledzie, węgorze, łososie, flondry, oraz przerabiają na konserwy śledzie, przywożone z zagranicy, przeważnie z Niemiec i Norwegji, szproty w oliwie bawełnianej, kilki, sardynki ze śledzików, flondry, makrele, anerousy, węgorze i łososie.

Produkcja ryb śródlądowa jest zbywana w stanie śniętym lub żywym. Przerobem ryb zajmują się nieliczne wędzarnie, z których na największą uwagę zasługuje wędzarnia sielawy w Kościerzynie, inne — jedna w Poznaniu i trzy w Lublinie — zajmują się wyłącznie wędzeniem taniej importowanej ryby-śledzia.

Zofja Oraczewska.

Kronika myśliwska.

Polowania wiosenne w Ordynacji Dawidgródeckiej księcia Karola Radziwiłła.

Dzięki energicznej ochronie zwierzostanu, w tym roku widać było znaczną jego poprawę. Niektóre toki głuszców doszły do przedwojennej swojej normy (20 — 25 sztuk) na każdym. Cietrzewie też ogromnie się rozmnożyły. Tej wiosny podczas polowania padło: głuszcy 21, cietrzewi 34, słonek 40 262 kaczory.

Głuszcy ubili: hrabia Maurycy Potocki . . . 6 sztuk
„ „ „ Zygmunt Skórzewski . 5 „
„ „ pan Mieczysław Kruszewski . 3 „
„ „ generał Carton de Viart . . . 2 „
„ „ pan Henryk Haszlakiewicz . 2 „
„ „ hrabina Adolfowa Micińska . 1 „
„ „ książę Karol Radziwiłł . . . . 1 „
„ „ nadleśny Józef Wojszewicz . 1 „

Polowano naogół przy niebardzo sprzyjającej pogodzie, gdyż przez cały kwiecień i początek maja ranki były wietrzne, dżdżyste, a czasem mroźne.

Poza tem odbyły się dwa polowania na kaczory, z tak nazwanymi „krykuchami“.

I-e polowanie dnia 3.V 1924 r. w Nadleśnictwie Dawidgródeckiem nad rzeką Prypeć, gdzie jednego ranka padło 75 kaczorów; trzy strzelby.

II-ie polowanie dnia 12, 13, 14.V 1924 r. w trzy strzelby w tym samym Nadleśnictwie padło 187 sztuk kaczorów, polowano tylko rano od 3½ do 8 zrana.

Wielki uszczerbek w stanie ptactwa łownego czyni miejscowa ludność zbieraniem wszelakich jaj, po lasach i łąkach—proceder nadzwyczaj trudny do zwalczenia. Sprawą wybierania jaj winny się zająć z całą surowością odpowiednie władze, gdyż straż leśna nie jest w stanie uporać się z tem złem, nader trudnem do wykrycia, o ile jaknajwiększa kara nie będzie wymierzona za ten rodzaj kłusownictwa, który z czasem zupełnie wyniszczy ptactwo łowne na Polesiu.

Doroczne polowanie odbyło się w lasach i na polach należących do dóbr JO. ks. Seweryny Sapieżyny w dniach 11, 13 i 28 stycznia 1923 w nadleśnictwie Kłódno-Hermancin, powiatu Żółkiew, Małopolska pod sprężystem kierownictwem dyrektora lasów p. Stefana Ceranowicza. W pierwszym dniu w lesie ubiliśmy w 13 strzelb 67 zajęcy, 2 rogacze i lisa. W drugim w 12 strzelb 127 zajęcy, w trzecim zaś w 10 strzelb (moja niefunkcjonowała) tylko 42 zające. — Ogółem padło 236, 2 rogacze i lis.

Ostatni dzień polowania dał tak słaby rezultat z tego powodu, że myśliwi mimo zaproszenia nieprzybyli — obawiając się odwilży i śniegu. Nagonki było dość — strzelb jednak za mało z czego zajączki nieomieszkały skorzystać i swobodnie, bo bez strzału przechodziły pomiędzy myśliwymi.

Jako były delegat Gal. Tow. Łowieckiego z przyjemnością zaznaczyć muszę, że podniesienie zwierzostanu w tych rewirach należy zawdzięczać li tylko pieczy wyżej wspomnianego p. dyrektora.

Przy wszystkich liniach widać było karmę rozwiezioną i przez zwierzynę pilnie odwiedzaną.

Od granic Dalnicza mimo dozoru nic jednak utrzymać nie można, bo sztuka jaka przejdzie przez granicę, pada albo z ręki kłusownika lub też dostaje się w sieci pozastawiane i to bez względu na porę. Byłoby rzeczą bardzo wskazaną, by p. delegat do którego Dalnicz należy postarał się o zamknięcie polowania chociażby na dwa lata, a posterunek Policji Państwowej raczył więcej baczyć na kłusowników, których tam jest wielu.

Dzięciołowski Wiktor.

Pan Fr. Gramowski z Wymysłowa złożył do Zarządu Centralnego Towarzystwa Kinologicznego w Poznaniu wniosek, aby hodowla jego nosiła przydomek: *Z bukowego wzgórza.*

Zarząd C. T. K.

Jeszcze w sprawie konkursu.

„Pam. charciarza“. Praca nagrodzona na Konkursie Myśl. naszego pisma pod nazw. „Karnkowskiego“, jak się okazuje jest dziełem p. Jankowskiego, który nazwiska „Karnkowski“ użył jako pseudonimu. Nagrodę wysłaliśmy pod wskazanym adresem.

Przegląd kinologiczny.

Wynik pierwszego egzaminu wyżłów młodocianych, urządzonego przez Śląskie Towarzystwo Łowieckie w Zebrzydowicach dn. 26 kwietnia 1924 r.

Pierwszej nagrody nie przyznano żadnemu kandydatowi.

Drugą nagrodę otrzymał *„Kartusz I z nad Gopła“*, wyżeł p. Badury z Marklowic;

Trzecią nagrodę przyznano:

a) „Lidzie“, wyżlicy p. Pokornego z Zebrzydowic.
b) „Drinie“, wyżlicy p. Szkutka z Małych Kończyc.

Pochwałę uzyskał *„Kartusz II z nad Gopła“* wyżeł p. Liszki z Piotrowic.

Sędziowie:

X. Niedbał—J. Folwarczny—H. Bernacik.

Zagadki.

Ks. Ludwik Niedbał, znakomity autor dzieła „Z łowisk Wielkopolskich“ nadsyła nam dwie zagadki, za których dwa trafne rozwiązania nadesłane do Redakcji przeznacza jako nagrodę dwa egzemplarze swego dzieła „Z łowisk wielkopolskich“. Ubiegający się o nagrodę muszą rozwiązać obie zagadki i rozwiązanie przesłać jak najwcześniej do Redakcji naszego pisma, Warszawa, Szpitalna 12.

Zagadka I.

Każdy myśliwiec kocha je niezmiernie
kiedy są dobre—to służą mu wiernie.
Bez nich — jak wiatrak—gdy wiatru nie staje
myśliwiec rzadko sobie radę daje.
Skoro przestawi zgłoski w owym słowie,
Czytelnik całej zagadki się dowie:
otrzyma przyrząd na którym po lodzie
jeżdżą—gdy zima zagości w przyrodzie.

Zagadka II.

Przyrząd co rzadko przez łowców użyty
wyborne daje wyniki —
Nadużywany wyludnia ze zwierza
dziewiczych puszcz mateczniki.
Malutki znaczek dodając u dołu
ujrzycie wielce zdumieni,
jak w mórz mieszkankę płaską, smakowitą
myśliwski przyrząd się zmieni.

Rozmaitości.

Z życia dzika.

P. dr. Malsburg nadsyła nam szereg obserwacji dotyczących dzika, które podajemy:

1) Widziałem dużego dzika ryjącego (buchtującego) po polach za gniazdami myszy i to w jesieni, kiedy w polu innego żeru np. kartofli itp., a w lesie żołędzi miał poddostatkiem. Uciekające myszy łowił b. sprytnie w biegu — jak lis.

2) Przebywanie chętne dzików po stawiskach zarośniętych oczeretem tłomaczy niezamącony niczem spokój w miejscach niedostępnych i trzęsawiskach *po drugie*—wygodny i chłodny barłog w błocie, gdzie wytarzany i oblepiony błotem kpi sobie z rojów obsiadających i tnących go bezskutecznie komarów, *po trzecie*—smaczny dlań specjał, jakim jest aromatyczny korzeń *tataraku* (Calamus aromat). Znam rewiry w Małopolsce, obfitujące tylko latem i w jesieni w dziki, po pokryciu warstwą śniegu ziemi, gdy już ryć za żołędziami i bukwą nie mogą, przenoszą się do innego rewiru, obfitującego w potoki i bagna porośnięte tatarakiem, którego korzenie wydobywają ryjem łatwo z bagien i błot i nim się przez zimę żywią. W zawalną i ostrą zimę, gdy śniegi na metr wysoko przykryły pola i lasy, gdy nawet oparzeliska w stawach zamarzły — dziki nie mając innego pożywienia, zjadały wyrytą przez siebie ziemię w gąszczach lasów szpilkowych.

W żołądku i jelitach ubitego 26.II b. r. dużego odyńca — znalazłem ogromną ilość li tylko ziemi wraz ze zbutwiałemi szpilkami świerkowemi i mchem. Ta niewybredność w zadawalaniu głodu i pożerania wszystkiego, co może dostarczyć jakichś substancji pożywnych i soków, sprawia, że dziki wytrzymują najsroższe i długotrwałe zimy, czy to w górach, czy w nizinach, bez uszczerbu w ich zdrowiu i życiu.

Dr. Malsburg.

Monografja lisa.

P. Jerzy Dylewski (Siedlce, Ogrodowa 10), przystąpiwszy do pisania monografji lisa prosi P.P. Myśliwych o łaskawe nadsyłanie mu pod wskazanym adresem swych obserwacji.

Kto z P. Myśliwych przysporzy nam 5 nowych prenumeratorów, ten otrzymywać będzie „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie” przez rok bezpłatnie.

Redaktor Naczelny: Julian Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Bleszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed. — **0.60 gr.** Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu) — **3 zł.** Konto czekowe w P. K. O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona — **40 zł.,** 1/2 str. — **25 zł.,** 1/4 str. **15 zł.;** 1/8 str. — **8 zł.,** 1/16 **5 zł. Cena pierwszej i ostatniej strony o 50 proc. drożej.**